



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Kula ognista.

O KAMIENIACH NA ZIEMIĘ SPADAJĄCYCH,

Skreślił Stanisław Kramęzyk.

Słyszeliście coś o kamieniach na ziemię spadających. Nie chcecie temu wierzyć, wydaje się to wam nieprawdopodobnym; to być nie może, by bryły kamienne przybywały do nas z przestrzeni niebieskich, ze stref pozaziemskich.

Podobnie i uczeni długo bardzo nie wierzyli legendom, które od niepamiętnych czasów prawily o kamieniach z nieba spadłych. W Grecyi starożytnej opowiadano, że tegoż samego dnia, w którym się sławny filozof Sokrates urodził, spadła w Epirze gwiazda płomienista, która zastygła w kamień, ciężki jak dwa kamienie młyńskie. W Kaabie, słynnej świątyni muzułmańskiej, gdzie się trumna Mahometa mieści, znajduje się też głaz oddawna przez Arabów za święty uważany, miał być bowiem przez Allacha z niebios zesłany; wierni wyznawcy proroka twierdzą, że kamień ten pierwotnie był biały, ale szczerniał od pocałunków ust kłamliwych. W wiekach średnich w wielu miejscach Europy przechowy-

wano bryły żelazne, którym podobne przypisywano pochodzenie; widziano nawet, jak masy te na ziemię spadały. Wszystkie te wszakże wieści uważali uczeni dawniejsi za niedorzeczne baśnie ludowe i zupełnie je lekceważyli; w owych bowiem czasach nie pojmowano jeszcze, że niekiedy i w niedorzecznej napozór legendzie kryć się może prawda rzetelna, jak w łonie ziemi bryłki złota pomieszane są i pokryte warstwą piasku.

Pierwszym dopiero z uczonych, który odważył się, przed stu laty, podzielić ten pogląd ludowy, był Chladni, ale nikogo jeszcze przekonać nie zdołał i sam naraził się na szyderstwa, a dowcipniś pewien napisał, że czytając książkę Chladniego, doznał wrażenia takiego, jakby mu naprawdę kamień z nieba spadł na głowę. — Niedługo już wszakże trwało niedowiarstwo tak uporne. W kwietniu 1803 r. dostrzeżono w różnych miejscach Francyi południowej kulę ognistą, która pod Aigle, w departamencie Orny, wyrzuciła grad kamieni, o czem otrzymała wiadomość akademja nauk w Paryżu i dla zbadania tej rzeczy wysłała jednego ze swych członków

sławnego Biota. Uczony ten zbadał miejscowość, rozpytał mieszkańców dwudziestu wiosek, sprowadził do Paryża znaczną liczbę spadłych kamieni i przekonał się niewątpliwie, że deszcz kamienny w Aigle powstał z rozsypania się kuli ognistej.

Skoro więc niepodobna już było dłużej wątpić o głazach na ziemię spadających, trzeba się było starać o wytłomaczenie początku tych osobliwych przybyszy. Sądziłi tedy niektórzy, że głazy te powstają z zagęszczenia się w powietrzu par, wywięzujących się z ziemi; przytaczano, że z pieców hutniczych wydobywają się w powietrze pary cynku, ołowiu, siarki i innych ciał, z których tworzyć się mogą te bryły kamienniste.

Zgodzicie się wszakże łatwo, że pomysł ten jest zupełnie niedorzeczny, tembardziej, że kamienie na ziemię spadające składają się z innych, nielotnych zgoła materiałów.

Inni znów przypuszczali, że są to głazy wyrzucane przez wulkany, ale błędność tego mniemania również jest widoczna. Siła bowiem wulkaniczna nie jest dosyć potężna, by kamienie wyrzucać mogła na znaczne odległości, a bomby wulkaniczne, wybiegające wraz z lawą z wulkanów, nie są wcale do kamieni tych podobne.

Jeżeli jednak nie są to wytwory wulkanów ziemskich, to może pochodzą z wulkanów księżycowych? Na księżycu jednak niema wulkanów dotąd czynnych; gdyby zaś istniały jeszcze, musiałyby posiadać potęgę nader znaczną, by głąz przez nie wyrzucony już na księżyc nie wracał, ale mógł przyciąganie jego pokonać i uleść przyciąganiu ziemi. Trudniej zaś przypuścić, by głazy te pochodziły z wulkanów Marsa, lub innych, dalszych jeszcze planet.

Gdy więc wszystkie te domysły okazywały się niedorzecznymi, zaczęto się domyślać, że zagadkowe te głazy są to bryły samoistne, które krążą w przestrzeni świata i niekiedy do obszarów się ziemskich destają. Są to objawy podobne do gwiazd spadających, ale od nich potężniejsze, razem zaś obejmujemy je zwykle wspólną nazwą *meteorów* albo *meteoroidów*.

Gwiazdy spadające stanowią zjawisko bardzo pospolite, możemy je każdej prawie widzieć nocy. Przedstawiają się w postaci iskier gwiazdzistych, które przebiegają niebo przez jedną lub dwie sekundy i gasną również nagle, jak i powstają. W ogólności wydają się jakby gwiazdami istotnymi i okazują blask różny; są między niemi tak drobne, że tylko przez teleskop dostrzedz się dają, ale są i inne, które błyszczą jaśniej, aniżeli gwiazdy najświetniejsze.

Gdybyśmy zechcieli godzinami całemi niebo w nocy rozpatrywać, naliczylibyśmy zapewne przecięciowo w ciągu godziny pięć do ośmiu gwiazd spadających; pamiętajmy wszakże, że widnokrąg jednego obserwatora obejmuje drobny tylko obszar, obserwatorowie więc po całej ziemi rozrzucony naliczyliby ich na godzinę całe tysiące. Ponieważ zaś ilość drobnych gwiazd spadających, gołym okiem niewidzialnych, jest zapewne wielokrotne jeszcze większa, to bez przesady powiedzieć można, że dziesiątki bilionów tych meteorów ognistych przerzynają rocznie firmament niebieski. Niektóre jednak noce są co do ich ilości szczególnie uprzywilejowane; występują niekiedy tak obficie, że tworzą istny deszcz gwiazd, jakby snopy rac ognistych, wdzierających się na firmament. „Gwiazdy tysiącami z niebios spadały” — wspomina z przerażeniem stary poemat indyjski.

Pamiętny jest zwłaszcza w dziejach nauki obfity spadek

gwiazd w nocy 12-go listopada 1799 r., obserwowany w Andach przez sławnego Humboldta, który podówczas z wielką dla nauki korzyścią przebywał w Ameryce południowej i świetne to zjawisko bardzo pięknie opisał. Z równą wspaniałością powtórzyło się zjawisko te również 12-go listopada 1833 r., a jednoczesność ta dat, i świetność obu zjawisk, oraz niektóre inne podobieństwa nasunęły uczonym domysł, że między niemi zachodzi związek, czyli raczej, że jestto jedno i toż samo zjawisko, powtarzające się co lat 33—34; astronomowie przepowiedzieli je tedy znowu na r. 1866, co się też rzeczywiście ziściło, a tak samo powtórzy się i w r. 1899.

Obfity zresztą spadek gwiazd, lubo w słabszym natężeniu, ma miejsce 12-go listopada corocznie, a również uprzywilejowaną jest noc z 9-go na 10-y sierpnia. Sierpniowy ten prąd gwiazd spadających od listopadowego tem się różni, że obfitość jego meteorów jest corocznie niemal jednaka, gdy w listopadzie, jak już wiemy, ulega zmienności i jest w pewnych epokach znaczniejszą.

Gwiazdy spadające, jak powiedzieliśmy, bywają słabsze lub jaśniejsze, często zaś ciągną za sobą ogon, choć może on być tylko złudzeniem, podobnie jak smuga świetlana, którą pozostawia za sobą węgiel rozżarzony, szybko w kółko obracany. Niekiedy wszakże ogon taki pozostaje, jakby ślad świecący, po zniknięciu samej gwiazdy, jest więc wtedy zjawiskiem rzeczywistym, nie zaś złudzeniem. Zjawiają się też czasami daleko świetniejsze jeszcze meteory, które rozlewają światło tak silne, że rozjaśniają całe niebo, a wtedy nadajemy im nazwę *bolidów* czyli *kul ognistych*.

Zwykle ukazuje się najpierw punkt świecący, lub drobny jasny obłoczek, z którego wysuwa się bryła szybko biegnąca; bryła ta rośnie i tworzy kulę ognistą, ziejącą iskrami i dymem. Pospolicie ciągnie za sobą ogon złożony z płomieni, dymu i cząstek, od głównej masy oderwanych, a pojęcie o wspaniałości takiego zjawiska dać nam może załączona rycina. Nakoniec, wśród huk, przypominającego grzmot, kula pęka i rozpada się na części drobniejsze; gdy przebiega w dzień, blasku nie dostrzegamy, a dopiero huk ten zwraca na nią uwagę.

Z takiej właśnie kuli ognistej spadają na ziemię głazy, które nazywamy *aerolitami*, co po grecku znaczy kamieniami powietrznymi. Nie zawsze wprawdzie bolid pęka i rozsypuje kamienie, czasami bolidy bardzo nawet świetne przebiegają zupełnie bez huku i wracają znów w przestrzeń pozaziemską, skąd przybyły. W każdym razie aerolity niewątpliwie pochodzą z kul ognistych, rozsypanych się z gwałtownym hukiem, nie dostrzeżono bowiem głązów meteorycznych, któreby bez podobnych objawów spadały.

(d. c. n.)

Konkurs wakacyjny dla pańienek.

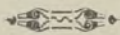
Z nadchodzącymi wakacjami, gdy pańienki wolne od nauk mogą więcej poświęcać czasu, tak niezbędnym w ich kształceniu robotkom ręcznym, przypominamy, jak to zwykliśmy czynić lat ubiegłych, że z wielkiem zajęciem śledzimy zawsze postępy, jakie czynią w szyciu, a ubogie dzieci z najwyższą radością przyjmują ofiary ich pracowitych rączek.

Najstaranniej wykończanym pracom Redakcja przyzna nagrody z uwzględnieniem wieku robotnic, nie można bowiem wymagać od ośmio lub dziesięcio letniej dziewczynki tego, czego słusznie oczekiwać możemy od starszych czytelniczek naszych. Ponieważ dzieci obdarzone robotami należą do najuboższej warstwy ludności, przeto zbyteczne są wszelkie ozdoby, materiały zaś niech będą najskromniejsze, choćby z noszonych już sukienek; zależy nam bowiem głównie, na starannem wykończeniu każdej roboty bez pomocy starszych, za wyjątkiem przykrojenia. Oprócz sukienek, spódniczek, kaftaników i t. d. pożądaną jest również bielizna, w szyciu której umiejętność i wprawa, choćby z pomocą maszyny, tak niezbędną jest dla każdej kobiety.

W konkursie wakacyjnym brać mogą udział czytelniczki „Wieczorów” do lat 15, te zaś ze starszych, któreby zechciały przysłać swe prace dla ubogich dzieci, otrzymują dziękczynną wzmiankę poza konkursem.

Roboty nadsyłać można do końca września pod adresem Redakcji naszej, czy to pocztą czy też przez okazyę; do każdej jednak roboty winna być przypięta kartka z wypisanym pseudonymem, obok nazwiska, wieku i adresu tej, która ją wykończyła.

Cieszymy się nadzieją, że podobnie jak w latach poprzednich i obecnie kochane czytelniczki nasze, zechcą licznie należeć do konkursu, aby starannem uszyciem choćby jednej koszulki, zyskać nagrodę lub pochwałę i spełnić zarazem dobry uczynek.



W pustyniach Australii.

PRZEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

Owa kwarta napoju znikła łyk po łyku i pusty worek leżał obok kopanej studni, oczekując, żeby go napełniono.

— Już nie mogę dłużej! zawołał z płaczem Jerzy, rzucając się bezwładnie na kupę wilgotnego piasku. Widzę, że będziemy musieli umrzeć tutaj z pragnienia. — O mój ojcie, moja ukochana mateńko! Już was nigdy nie zobaczę, nigdy!

Tom, na ten wybuch rozpaczy dzielnego chłopca, nie miał żadnego ukojenia; sam bowiem utracił nadzieję. — Dół kopany przez nich dwóch mierzył już piętnaście stóp głębokości i stał się na spodzie tak wąskim, że nie podobna było się w nim obracać. Rozszerzenie gardziela wymagałoby zaś kilkanaście godzin pracy, na co już ani Tomowi ani Jerzemu nie starczyłoby sił.

— Desperacya na nic się nie przyda, rzekł pastuch; (Ot, chodźmy lepiej pomagać panu Duganowi i staremu Bobowi; zdaje mi się, że oni prędzej dokopią się żyły. W każdym razie, nie trzeba porzucać zupełnie tej studni, bo się niedługo zawali; a kto wie, czy się jeszcze nie przyda.

Pastuch, napełniwszy dolną część dołu gałązkami i trawą, ażeby zapobiedz obsuwaniu się piasku, udał się do studni kopanej przez Dugana i jego towarzyszy. Wiemy, że i tutaj sprawa nie była na lepszej drodze; Jerzy i Tom nie znaleźli więc żadnej pociechy.

— Nie rozumiem, co to znaczy, mówił pan Artur, prostując zgięty krzyż; przecież kopujemy w samym środku koryta; gdzież się więc ukryła woda? Trzeba przypuścić chyba, że natrafiliśmy na wyjątkowo grubą warstwę przepuszczalną, która pochłonięła rzekę...

— W takim razie łatwiej moglibyśmy dostać się do wody w górze rzeki, — odezwał się Abel.

— Bezwątpienia; niepodobna przecie rozpoczynać na nowo pracy w innym punkcie; albo znajdziemy tutaj wodę, albo zginiemy z pragnienia.

— Wartoby zapytać naszego przewodnika, co on myśli o tem wszystkim, — rzekł Tom; gdzież on jest?

Zaczęto szukać Morbory, lecz ten zniknął gdzieś bez śladu wołano, przeglądano pobliskie krzaki nadaremnie.

— Gdzież się podział ten czarny djabeł? zawołał z gniewem stary poszukiwacz złota; oddalił się, nie mówiąc nikomu, dokąd i po co.

— A może udał się na poszukiwanie lepszego miejsca do kopania studni? — dorzucił Jerzy.

— O ile wiadomo, czarni nigdy nie uciekają się do tego sposobu, co my teraz, — rzekł Dugan; — obawiam się, czy Morbora, zagrożony pragnieniem, nie opuścił nas...

— To byłoby z jego strony niekzemnością! — zawołał z oburzeniem Jerzy, — Nie przypuszczam, żeby się miał dopuścić takiego brzydkiego postępku.

— Oh, oh! — zaśmiał się Bob; — czarny drwi sobie z naszej nagany lub pochwały. Trzeba paniczowi wiedzieć, że te lotry mają zupełnie inną moralność, aniżeli my. Co biały nazywa zbrodnią albo łakomstwem, to u krajowca uchodzi za czyn dobry i szlachetny.

— Pal go sześć! — rzekł Tom, machając ręką; — potrafimy się bez niego obejść.

— Biedne koniki! — mówił Jerzy, głaszcząc wierzchowców, które stały w pobliżu kopanej studni ze zwieszonymi głowami. Nie miałyście ani kropli wody od 36-u godzin i zapewne nie prędko jej dostaniecie.

— Jutro padną oba — odezwał się Bob, machając ręką; — wtedy będziemy musieli iść piechotą przez spinifeks; dziękuję za to! Odrazu oczy by nam powyklówało to nieznośne trawsko.

— Nie obawiajcie się, Bobie; znajdziemy wodę prędzej czy później, a zresztą mamy jeszcze wielbłądy, które mogą przez kilka dni obchodzić się bez żadnego napoju. No, Tomie, kopiny dalej naszą studnię; nie trzeba poddawać się rozpacz tak łatwo! Teraz znów wierzę, że się nam uda.

Jerzy za wiele liczył, niestety, na swe siły; pragnienie wyczerpało go zupełnie; po kilku godzinach pracy, omdlał, dźwigając kosz z piaskiem. Tomasz z trudnością zdołał go ocucić.

— Trudno, paniczu, głową muru nie przebiję, — mówił z rezygnacją pasterz, wlewając w usta dzielnemu chłopcu kilkanaście kropel herbatki, wysączonej z imbryka; — rzeka wyschła doszczętnie, daremnie będziemy kopali dłużej.

— Nie mów tak, Tomaszu, my nie umrzemy z pragnienia, to byłoby okropne... ja nie chcę... O moja, kochana matko, mój drogi ojcie! Dla czego nie znajdujecie się przy mnie!

Jerzy płakał, leżąc w cieniu usychającego krzaka, nad brzegiem studni, która była w tej chwili podobną do grobu otwartego...

Zmartwiony stanem siostrzeńca, Dugan siedział obok niego, ocierając mu łzy, płynące po zaczerwienionej gorączką twarzy. Podróżnik, przygnębiony niepowodzeniem, milczał; już nie miał słowa zachęty dla towarzyszy; zaniechano kopania, i poddano się apatyi, oswajając się powoli z koniecznością śmierci wśród pustyni, nieczulej na cierpienia ludzkie.

Słońce zlewało niemiłosiernie na koryto rzeki swój żar, jak gdyby chciało przyspieszyć rozwiązanie tego smutnego dramatu, będącego jego dziełem.

Tak mijał czas, unosząc wraz ze sobą resztki nadziei... Woda w studniach nie pokazywała się bowiem; daremnie Bob zaglądał w nie co chwila, zawsze wy dobył tylko nieco wilgotnego piasku, którym podróżni zwilżali zeskorupiałe wargi.

— Czyby się nie dało wyciągnąć choć trochę płynu przy pomocy ciśnienia? — zagadnął Abel.

— Ha, sprobuj! — odparł Dugan; — wątpię jednak, czy ci się to uda.

— Trzeba się przekonać.

Mówiąc to, Australczyk napełnił mokrym piaskiem dużą, blaszaną puszkę z otworem w denku, przytłoczył go z wierzchu kamieniem i zaczął z całych sił przyciskać.

Po długich staraniach otrzymał kilkanaście kropeł wody, którą skwapliwie poniósł do ust.

— Gdybyśmy posiadali prasę hydrauliczną, to twój sposób możeby się na co przydał, — rzekł pan Artur; — w tych warunkach jednak wyciśnięcie szklanki wody wymaga całego dnia pracy.



Statek malajski przybijający do Cudownej wyspy.

Abel uśmiechnął się gorzko; Dugan miał słuszną, wyprawa była więc skazaną na okrutną, pewną śmierć z pragnienia.

— Morbora idzie! — zawołał nagle doktor, który dotąd leżał nieruchomie w cieniu karłowatej akacji.

Na dnie serc, najbardziej nawet szarpanych rozpaczą, tleje zawsze isierka nadziei; to też podróżni szybko zwrócili głowy w stronę murzyna, idącego środkiem osuszonego koryta, i wlepili w niego pytające spojrzenia.

— No i cóż, Marboro? — zagadnął Dugan, podnosząc się; — możeś znalazł gdzie źródło?

Czarny potrząsnął głową przecząco.

— Nie? A więc musimy umrzeć...

Nastąpiło grobowe milczenie; wznieczone isierki zgasły.

— Gdzieś był włóczęgo? — zawołał Bob, kładąc dłoń na ramieniu przewodnika.

— Daleko, tam... i piłem... nie mam pragnienia... wody w rzece nigdzie nie znalazłem.

— Więc cóż piłeś?

— Z korzeni... chodźcie za mną... skrub i woda... dobra woda...

— Co on plecie? — rzekł Halm, wzruszając ramionami.

— Jaką wodę piłeś? gadaj wyraźnie! — krzyknął stary poszukiwacz złota, marszcząc gniewnie brwi.

Morbora starał się uczynić zadość temu żądaniu, lecz mając w swym słowniku kilkanaście zaledwie wyrazów angielskich, nie był w stanie tego uczynić; Dugan zaś bardzo mało rozumiał jego narzecze, więc także nie mógł się domyśleć, co mówił czarny.

— Nie dogadamy się z nim, jak widzę! — zawołał Tom; niech nas prowadzi do tego błogosławionego źródła.

— Tak, tak, poco czas tracić nadaremnie, — dodał Jerzy; — biegnę osiodłać wielbłądy...

Nadzieja ożywiła wycieńczonych pragnieniem podróżników; wsadzono Morborę na dromadera, i pospieszano w górę koryta rzeki, unosząc skórzane worki...

Przez dwie godziny jechano szybko po gładkim zwirze wśród prostopadłych piaszczystych wybrzeży, zarosłych zrzadka krzewami; wreszcie zauważono, iż charakter krajozrazu zmienia się. Zamiast stepu, pokrytego spinifeksem, ujrzano niski skrub, obejmujący wyschlą rzekę w ramki brudnej zieloności.

O parę mil dalej Morbora zeskoczył z wielbłąda, dając znaki towarzyszom, aby szli za nim.

— Alboż tutaj może się znajdować źródło? — zapytał Jerzy, spoglądając z niedowierzaniem na skrub.

— I mnie się wydaje, że nie — potwierdził Halm.

— Poczekajmy chwilkę to się przekonamy — rzekł Dugan, — kto wie, czy Morbora nie odkrył gdzie zagłębienia, w którym zebrało się trochę wody deszczowej; no, prowadź nas prędzej, bo umieramy z pragnienia, — dodał, trącając murzyna końcem szpicruty.

Cierpliwość podróżnych nie była wystawioną na ciężką próbę. Morbora zatrzymał się niebawem przed grupą krzewów i wskazał na nie palcem.

— Woda, — rzekł krótko.

Członkowie wyprawy spojrzeli po sobie zdziwieni.

— Gdzie woda? — wybuchnął Tom; — ten łotr drwi sobie z nas najwyraźniej.

I ponsowy z gniewu pastuch, podniósł swe żyłaste pięści, chcąc się rzucić na przewodnika; ten jednak, zamiast uciekać, przysiadł i szybko zaczął grzebać w ziemi.

(d. c. n.)

Kolej żelazna na Jungfrau.

Olbrzymie postępy na drodze nauk ścisłych, rozszerzające coraz bardziej dziedzinę władzy, jaką człowiek zdobył nad przyrodą, doprowadziły w ostatnich czasach do wykonania dzieł, jakie w starożytności, zaliczonoby słuszenie do cudów świata.

Do tych należą mianowicie zdumiewające odkrycia i wynalazki Bella i Edisona, oraz powstawanie coraz nowych, wodnych i lądowych dróg komunikacyjnych, których możliwości jeszcze w połowie bieżącego wieku nikt byłby nawet nie przypuszczał.

Nowy dowód takiego zwrotu przedstawia rycina nasza. Na jednym z niedostępnych szczytów Alp szwajcarskich, osrebrzonych grubemi pokładami lodu i śniegów, które w postaci groźnej lawiny, od czasu do czasu, z hukiem zapadają w bezdenną przepaść Jungfrau. Szczyt ten bywa celem niebezpiecznych wycieczek dla śmiałych turystów, połączonych z niewypowiedzianymi trudy i kosztem i z tej też przyczyny,

GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XIV wieku.

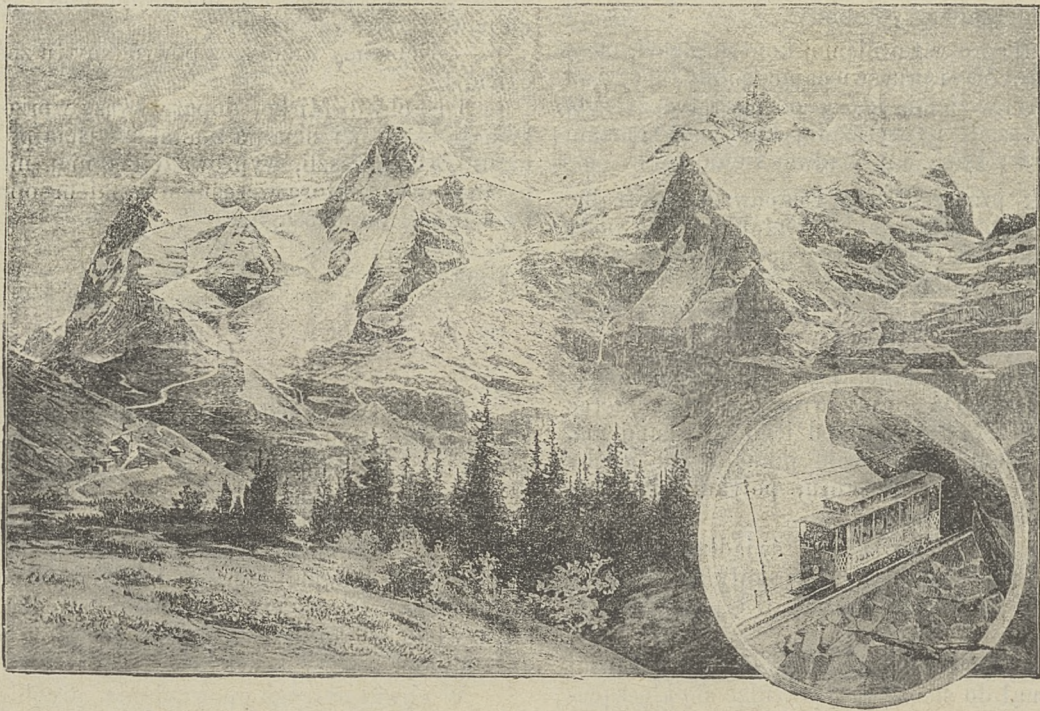
P. ZUZANNĘ MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

dla małej jedynie garstki wybranych był dostępny. I któżby to przed trzydziestu bodaj laty, mógł był pomyśleć, że ów czarujący widok, jakim dotąd tylko owi wybrani mogli się rozkoszować na szczycie Jungfrau, w tak niedalekiej przyszłości stanie się dostępnym dla wszystkich wielbicieli cudownych obrazów górskiej przyrody.

Tak się jednak stanie, dzięki genialnemu pomysłowi inżyniera Guer-Zellern z Zurychu, który podniósłszy dawny projekt z r. 1890 i znalazłszy poparcie władz związkowych szwajcarskich, skreślił wyborny plan przekopania rozległych tunelów, za pomocą przebicia całej masy gór i skał i zaprowadzenia tamże kolei żelaznej, co zaczynając się na wschodnim stoku Alp, Engern i ztamtąd ustawicznie wznosząc się pod górę pod wierzchołkami Engern i Mnicha, ma osiągnąć

Ściany wilgotne przyozdobione były najśliczniejszymi rzeźbami, które w fantastycznych kształtach spływały w rozmaitym kierunku lub delikatną koronką muskały ciemną ich powierzchnią, zwieszające cienkie, okrągłe filary i kolumny, jedne dotykały ziemi jakby podtrzymując wysokie sklepienie, inne szły tylko ostrym rzutem z tegoż sklepienia jak



Kolej żelazna na Jungfrau.

szczytów Jungfrau. Punktem wyjścia ma być już istniejąca stacja kolei sznurowej (Zahnradbahn) Lauterbrunnen-Gründewald, Scheidegg 2,066 mil nad poziomem morza.

Niepodobna nam tu wchodzić we wszystkie szczegóły tego śmiałego przedsięwzięcia, którego wykonanie ma się już wkrótce rozpocząć, dodamy więc tylko, że motorem mającym wprawiać w ruch wagony, na tej podziemnej kolei, ma być elektryczność, i że takowe, celem nadania im możliwej lekkości, mają posiadać kształt i wielkość, zwyczajnych tramwajów konnych.

Kosztorys zamierzonej kolei, która ma zostać ukończoną w ciągu lat pięciu, jest obliczony na ośm milionów franków.

wielkie narośle po których spływały ciężkie krople słonej wody.

W kroplach tych jak i we wszystkich naciekach tworzących ozdobę pieczar migotały teraz płomienie ognia i świeciły blaskiem nie porównanej piękności, przy którym blask najdrogocenniejszych kamieni słabym by się tylko wydawał.

— Ależ to cuda, prawdziwe cuda przyrody! owe skarby, które przeczuwałem, lecz o bogactwie takim i piękności marzyć nawet nie mogłem! zawołał Mirko pełen zachwytu.

Towarzysz jego stał tymczasem oniemiały, patrzył szeroko rozwartymi oczyma i nie mógł sobie nawet zdać sprawy, gdzie jest i co go otacza.

— To zapewne świątynia, lub mieszkanie jakiegoś zakłętego króla, — szepnął nieśmiało.

Mirko uśmiechnął się tylko i chciał mu coś odpowiedzieć lecz wzrok jego padł nagle na posąg biały, leżący

w głębi przy jednej ze ścian pieczary i jedną częścią jakby przy gwałtownym rzucie, ciężarem swym w ziemię zagłębiony.

— Co to jest! zawołał, nagle.

I zapaliwszy luczywo, przybliżył się i oświecił twarz leżącego posągu.

Teraz łatwo można było rozpoznać postać i rysy kobiety, która jakby we śnie bolesnym skamieniała na wieki.

— Boże, Boże mój! zawołał Mirko oświecając coraz bliżej posąg i przecierając oczy, jakby dla przekonania się czy wzrok jego nie doznaje złudzenia.

— Czy to śpiąca królowa tego zaczarowanego pałacu? zapytał go szeptem młody jego towarzysz.

Mirko nie odpowiedział tylko spojrział na niego uważnie i znów zaczął się posągowi przyglądać.

Bogum już teraz nie wiedział co myśleć, tylko zdawało mu się, że od tego kamiennego posągu bije jakaś niezwykła jasność, że rysy jego się ożywiają i ciepło się jakieś rozchodzi, jakby w tym kamieniu serce nagle zadrgało.

Przywykły do oddawania pobożnej czci świętym w kościele salzburskim, czy też popchnięty jakąś nie przepartą siłą, upadł nagle na kolana i złożywszy ręce na piersiach, wpatrywał się w skamieniałe rysy kobiety.

Mirko pozostawił go w tej niemej kontemplacji, sam zaś postąpił kilka kroków i przyświecając sobie luczywem badał ślad wyżłobiony w ziemi, który od posągu leżącego, nieco w zagłębieniu, szedł najwyraźniej ku temuż samemu otworowi pieczary, przez który oni obadwaj się dostali.

I kilka razy tak przeszedł tam i napowrót, opatrując pilnie otwór i wgłębienie, które jakby wyżłobione falą wody i pędzącym gwałtownie ciężarem, nie rozchodziło się w żadną stronę, tylko niknęło tuż u stóp posągu.

— Tak, ja się nie mylę! więc to fala wody wypływająca nagle ze skały, porwała ciało Immergundy!

Tak, teraz był pewien tego; przez długie obcowanie z naturą, podpatrzył rozmaite jej przewroty, widział nieraz jak wytryskująca woda zabierała z przed jego oczu kamienie, zwierzęta i pędząc z nimi gwałtownie niknęła jak gdyby otwarta paszczyka olbrzymiego potwora, polykała je nagle i kryła na zawsze w swem wnętrzu.

Zresztą wszak i przed chwilą byli świadkami takiego zjawiska, gdy potoki wody wytryskujące ze skały zatamowały im przejście i zmusiły do schronienia się w tej tajemniczej pieczarze.

— A więc ta woda rozsadzająca skały ukryła tutaj matkę twoją! — szepnął do siebie, przypatrując się klęczącemu młodzieńcowi.

— Moją matkę! — zawołał tenże oczucony nagle ze swej pobożnej zadumy.

— Moją matkę! — powtórzył, chwytnąjąc Mirka za rękę, który przyzwyczajony podczas ciągłej samotności i przebywania w górach, myśli swe głośno objawiać i teraz znać za głośno zdradził się z niemi.

— Powiedz, więc matka moja śpi tutaj zaklęta przez jakiegoś podziemnego ducha? — nalegał młodzieniec, potrząsając rękę swego przyjaciela.

— Śpi, śpi, ale ujęta snem wiecznym — mówił powoli Mirko.

— Jakto, więc jej nie zbudzę! ja, syn jej, ani ty, który tyle rzeczy wiesz i umiesz mi wytłómaczyć! — wołał młodzieniec, patrząc w twarz swego przyjaciela.

— Nikt, nikt jej nie zbudzi — odpowiedział tenże ponuro i ujął z całą serdecznością dłoń swego wychowanka.

— Niezbadane są wyroki Opatrzności, może twoja matka nie mogłaby ustrzedz się pościgu okrutnego Siebenhausa, może nie mogłaby cię od zagłady uchronić i oto fale wody wytryskujące ze skały, pokryły powłoką kamienną i ukryły jej ciało w tym wspaniałym grobowcu. Wszak wiesz, że gdyśmy umoczyli rośliny w wodzie wytryskującej ze skały, rośliny pokrywały się białą powłoką, a po kilku dniach sta-

wały się twarde jak kamień, ciało więc twój matki, leżące bezwładnie u stóp skały a porwane przez fale słonej wody po latach przeszło piętnastu zamieniło się w kamień...

— Łzy moje rozkruszą ten kamień i matkę przywołają do życia! — zawołał gorąco syn Immergundy i osunął się znów na kolana przy leżącym posągu *).

— Matko, matko moja! — wołał, objąwszy głaz zimny w silne swoje ramiona, a łzy jego gorące spływały na lice białej postaci.

Chwila była uroczysta.

Mirko stał, spoglądając w milczeniu na tulącego się do posągu młodzieńca.

Po niejakiem czasie położył dłoń na jego ramieniu, mówiąc:

— Może duch matki, patrząc na twą prawdziwą boleść, wskaże nam drogę do odnalezienia ojca.

Młodzieniec podniósł wzrok na mówiącego, potem powoli odjął ramiona od posągu i rozejrzał się dokoła czy w tej tajemniczej pieczarze nie ukaże mu się postać tego, którego tak pragnął odnaleźć.

Ale ogień który słabnąc znów zaczął, rzucił mroczne cienie po całej pieczarze, muskając biały posąg i zasuważąc go powoli czarną powłoką.

— Chodźmy więc, lecz powrócimy tu znowu — rzekł młodzieniec.

I po chwili Mirko, dopatrzwszy wprzód śladów ludzkich na wilgotnej ziemi, a z nimi i wyjścia po przeciwnej stronie tej, którą weszli, wyprowadził z niej młodego Hofsteina tą samą drogą, którą wczesnym rankiem opuścił swe chwilowe schronienie jego ojciec.

XV.

G U T A.

Starożytne miasto Salzburg znane jeszcze za czasów Rzymian i noszące ongi nazwisko Juvavia leży wśród gór w dolinie rzeki Salzy. Tak miasto jako i cała okolica aż do Alp Noryckich, oraz jezioro Kenigsee, było w XIV wieku bogatym arcybiskupstwem. Kilka barońskich zamków, które wśród gór dumnie sterczały, z wyjątkiem zamku Hofsteinnów, nieraz się swemi napadami arcybiskupom dały we znaki, nie też dziwnego, że ci niespokojni sąsiedzi niechętnie byli przez władców arcybiskupstwa widziani, a nawet częste spadały na nich klątwy kościelne.

W chwili naszego opowiadania, arcybiskupem Salzburskim był Wilhelm von Arco, który podczas bezkrólewia przebywał w Rzymie dla podtrzymywania i przedstawienia Ojcu św. spraw Niemiec, będących w ciągłej walce i rozruchach. Poznany przez nas podczas sądów tajemnych, biskup Gregorius był tylko, jakeśmy to już mówili jego zastępcą, a zastępstwo to tak w sprawach Kościoła jako też państwa i stosunku jego do cesarstwa, dzielnie sprawował.

Obecnie Wilhelm von Arco, dowiedziawszy się o wyborze cesarza i uspokojeniu umysłów, przybywa jako legat papieżki z rozmaitemi poleceniami a zarazem dla uregulowania stosunków między cesarzem Ludwikiem a Rzymem.

Biskup Gregorius pragnął i cieszył się z jego powrotu, chciał bowiem jak najprędzej złożyć swoje dziesięcioletnie szafarstwo i usunąć się do prac swoich, które jako człowiek wiele uczony w ciszy rad był prowadzić.

Lecz dużo jeszcze kłopotów, trosk i trudu spadało na jego głowę, miasto bowiem zaroiło się przybywającymi z odległych stron gośćmi.

(d. c. n.)

* Posąg kamienny kobiety znajduje się dotąd przy wejściu do salin w Berchtesgaden w Alpach bawarskich:

CUDOWNNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

— Muszę dać wiarę twierdzeniom pana, jakkolwiek to wszystko przedstawia się myślom moim tak bardzo nieprawdopodobnem — odpowiada Ponchard. — Bo proszę mi wytłómaczyć tylko jakim sposobem może tak wyglądać kraj, w którym mieszkają ludy, o tyle dzikie, że zachowały jeszcze instynkta krwiożercze.

— Było to niegdyś, mój drogi panie, dzisiaj, dzięki zba-
wiennym wpływom misjonarzy cywilizacya świata znalazła tu
wstęp otwarty. Dzisiaj nietylko zatarły się tu zupełnie dawne
dzikie obyczaje, lecz nawet język krajowców niebawem może
być całkowicie zapomnianym, ustępując przed wszechwładnie
panującą tu anglo-saksońską mową.

— Więc to Anglicy zajmują teraz pierwsze na tych
wyspach miejsce?

— Anglicy i Amerykanie; wielu jest również Chińczy-
ków sprowadzonych głównie przez plantatorów do uprawy
rol. Osiedleni tu od kilku już pokoleń, utworzyli z bie-
giem czasu osobną jakoby rasę, zwaną w miejscowym języku:
„Hapa-Pake”, co znaczy, Pół Chińczyk. Dość licznie też
żyją tu Portugalczycy, z powodu stałych stosunków handlo-
wych tych ziem z wyspami Azorskimi.

— A dzicy, albo jeżeli pan woli, krajowcy? — pyta
Yvernes.

— O, i tych znajdziecie tu panowie tylu jeszcze, abyś-
cie zadowolnić mogli waszą ciekawość, chociaż przywieziony,
podobno przez Chińczyków, zabijający trąd, przedziesiątko-
wał ich znacznie — objaśniał dalej uprzejmy inżynier.

Tak, niestety! francuzki kwartet widzi się zmuszonym
zrezygnować z urzeczywistnienia fantastycznych swych ma-
rzeń, spotkania się na archipelagu Sandwich oko do oko z lu-
dożercami; dochodzi do tego przekonania z chwilą, gdy jedna
z szalup Standard-Islandu przewiozła ich do portu Oahu,
gdzie równie wiedzona ciekawością ludność napływała ze
wszystkich stron kraju. Bezwątpienia, typy podobne widzieć
można wszędzie w Ameryce a nawet w starej Europie.

— O kolorycie miejscowy — woła pierwszy skrzypek —
jakaż ręka zatarła cię na nowoczesnej palecie! Tak jest, rę-
ka cywilizacyi i postępu, która jest prawem natury ludzkiej,
zmieniała i tu pierwotny stan ludności, zmieniała nawet kraj
cały!

Dwie ostro w ocean wrzynające się skały, które na łą-
dzie rozwijały się dwoma pasmami wzgórz, tworzą naturalny,
dość obszerny port zabezpieczony od wichrów i burz mor-
skich, nawiedzających czasem te strony.

— Rozczarowanie! najzupełniejsze rozczarowanie —
powtarza półgłosem Ponchard. — Zaprawdę, smutną jest
konieczność utraty najmilszych złudzeń w każdej podróży.

— Bo lepiej jest zawsze nie awanturować się w dalekie
strony, a siedzieć spokojnie w domu — odpowiada szorstkim
głosem, idący obok wiolonczelista.

— Co do mnie nie zgodzę się na to nigdy — woła
Yvernes — bo zechciej powiedzieć mi tylko, co w świecie
może dorównać widokowi, jaki przedstawia ta pływająca wy-
spa, odwiedzająca swe siostry na dalekich oceanach?

Jeżeli jednak stan moralny i umysłowy mieszkańców
archipelagu Sandwich uległ korzystnej zmianie, to klimat
ich pozostał takim, jakim był od wieków zapewne, a więc
jednym z najzdrowszych na naszym globie. Mimo to

wiem, że okolice zajmowane przez wyspy znane są pod nazwą
„Morza gorącego” termometr dzięki powiewom wiatru od
północy, nie wskazuje w Honolulu nigdy ponad 21° Celsyu-
sza. Nie licząc się też nawet z gwałtownymi burzami zwa-
nemi „konnos”, które od czasu do czasu nawiedzają tę strefę,
liczni chorzy Ameryki przybywają tu, aby ratować nadwątlo-
ne zdrowie.

— Bądź co bądź, im więcej artyści francuzcy zapoznają
się z krajem i jego ludnością, tem szybciej tracą fałszywie
wytworzone o nich pojęcia, które opadają jak różnobarwne
liście jesienne, pozostawiając marzycielom niezadowolone
doznanego zawodu.

— To Kalikstus Munbar wywiódł nas znowu tak
zręcznie w pole — mówi z goryczą Ponchard — toż nie kto
inny, tylko on zapewniał nas, że wyspy Hawajskie są ostate-
czną granicą dzikich ludów na Oceanie!

Lecz zagadnięty o to winowajca, odrzekł, przymrużając
znacząco prawe oko:

— Cóż chcecie, drodzy przyjaciele, wszystko uległo tu
takiej zmianie od ostatniej mej bytności, że sam nie mogę
wyjść z podziwu...

— Znam cię już żartownisiu — odpowiedział Ponchard,
klepiąc po ramieniu zacnego prezesa, śmiejącego się teraz
serdecznie.

Nie zbyt dalekim jest jednak od prawdy Kalikstus
Munbar, gdy utrzymuje, że ważne zmiany wprowadzone zo-
stały na tych wyspach w przeciągu, stosunkowo, dość niedłu-
giego czasu. Jeszcze bowiem w 1838 roku rządziła w Hono-
lulu monarchia konstytucyjna z dwiema izbami deputowa-
nych, obieranych pośród miejscowej ludności. Do pierwszej
mieli prawo jedynie posiadacze ziemi, do drugiej wszyscy
umiejący czytać i pisać. Nadto przy boku króla zasiadało
czterech ministrów, służących mu radą i pomocą.

— A więc zamiast jakiejś małej przybranej w pióra,
której poddani z nieśmiałością składaliby swe dary, żył tu
niegdyś król, i istniała konstytucya! — zawołał Yvernes.

— Pewny jestem — dodaje Ponchard — że ta królew-
ska mość nie nosiła pierścieni w nosie, a może nawet kazala
sobie robić sztuczne zęby u najlepszych dentystów Nowego
świata.

— O, cywilizacyo, cywilizacyo! — powtarza pierwszy
skrzypek. — Gdzież się podziały czasy, w których ludom tym
nie trzeba było wstawianych zębów do gryzienia ciał ich jeń-
ców wojennych!...

— Proszę wybaczyć entuzyaście Yvernesowi dziwny
sposób zapatrywania się na rzeczy — zauważył poważny
Francolin.

— Czynie to najchętniej w świecie — mówił dalej Ka-
likstus — bo nie zmienia to w niczem faktu, iż rządziła tu
w owe czasy królowa Lilinokalani, która w końcu pozbawiona
tronu, walczyła o należne prawa dla syna swego Adeya,
przeciw pretensjom księżniczki Kaiulani. Był to okres dość
długich wewnętrznych rozterek i wojen domowych, podo-
bnych bardzo do tych, które się praktykują w poczciwych
krajach Ameryki i Europy nawet, z tą tylko różnicą, że
armia tutejsza szczupła bardzo, bo licząca zaledwie kilkuset
stałego żołnierza, zbyt słabą była, by mogła odegrać jaką-
kolwiek poważniejszą rolę. Anglicy jednak mający zawsze
baczne oko na wszystko, co się na dalekich morzach dzieje,
nie omieszkali korzystać ze swoich wpływów i działając prze-
ciw Japończykom, którzy zamierzali zagarnąć wyspy pod
swoją młody protektorat, spiesznie osadzili na tronie księ-
żniczkę Kaiulani.

— A Ameryka, czy nie mieszała się całkiem w te spra-
wy? — pyta Francolin.

— O, Amerykanom nie zależy bynajmniej na tym pro-
tektoracie; im wystarcza najzupełniej pewność posiadania
tu stacyi drogi morskiej, ponad to, nie troszczą się już o nic
wcale.

W 1875 roku jednak, król hawajski Kamehameha zło-
żywszy wizytę prezydentowi Grant'owi w Waszyngtonie, oddał

sam dobrowolnie wyspy swoje pod opiekę Stanów Zjednoczonych. Stosunek ten przecież nie pozostał długotrwałym, bo gdy pan Cleweland chciał wrócić utracony tron książęcy Liliuokalani, za czasów istniejącej już tam republiki pod prezydenturą pana Sanforda Dole, powstała silna przeciw niemu opozycja. Któż zresztą zmienić zdoła zapisane w księdze przeznaczenia losy, tak pojedynczego człowieka, jak narodów całych?

Ostatecznie w obecnej chwili licząc od dnia 4 lipca 1894 Archipelag Hawajski jest znowu republiką pod zaszczytną prezydenturą pana Dole.

Ponieważ Standard-Island ma zamiar zatrzymać się przy Archipelagu około dwóch tygodni, przeto liczni jej mieszkańcy wiedzeni ciekawością poznania miasta Honolulu i jego okolic, każą się tam codziennie przewozić. Pierwsze miejsce zajmują naturalnie zawsze rodziny Coverley'ów i Tankerdonów. Lecz i z tamtej strony niemięjszym jest zainteresowanie się Cudowną wyspą, jakkolwiek bytność jej tutaj już poraz drugi się powtarza. Zachwyty Hawajczyków jest bezmierny, i chociaż w portach Tribor i Barbor Harbour zachowują zawsze wszelkie ostrożności, całymi tłumami przybywają tam mieszkańcy Honolulu dla podziwiania wszystkich cudów miliardowego miasta. Oprócz jednak wzajemnej uprzejmości z jednej i drugiej strony, nie zawierają się żadne bliższe stosunki, a policja miejscowa bacznie ma oko na wszystkich, pilnując, aby z nadejściem wieczoru, nikt obcy nie pozostał na jej sztucznym gruncie.

Z pomiędzy licznych, różnego kształtu łodzi, wyróżnia się czworoboczny statek malajski, przybijający codziennie do brzegów stalowej wyspy. Załoga jego składa się z dziesięciu załadowanych ludzi, na których czele stoi kapitan, człowiek o surowym i energicznym wyrazie twarzy. Stałe te wizyty mogłyby zaniepokoić trochę policję Standard-Islandu tym więcej, że ze szczególnem zainteresowaniem ją obejrzęła wyspę dokoła, badając z różnych punktów za pomocą lunet wewnętrzne jej urządzenie. Czegoż jednak obawać się może dziesięciotysięczna ludność Miliard-City ze strony tych kilkunastu ludzi, gdyby oni nawet złe jakoweś względem niej tworzyli zamiary?

Mimo zawodu jakiego doznał koncertujący kwartet z niemałym przecież zajęciem zwiędza nieznanne sobie ziemie. Krajowcy zyskują nawet pewną sympatyę z ich strony, jako typ ludu o rysach wydatnych i mający w wyrazie twarzy obok pewnej dumy, coś dziwnie łagodnego, melancholijnego nieledwie.

„Powietrze naszego kraju jest wolne” mówi miejscowe przysłowie — i wolnym jest także lud pod rządem republikańskim, a jednak artyści francuzcy upatrują w nich jakby żal, za niepowrotną już nigdy, dawną, dziką wolnością.

Niektóre miejscowości na wyspie Oahu budzą w zwiedzających rzadkim swym urokiem szczerzy, nieklamany zachwyty. Wprawdzie flora tutejsza nie należy do najbogatszych, obfituje jednak w piękne lasy drzew bananowych, myrtowych, chlebowych, rycinowych, indygowych, olbrzymich datur i palm wszelkiego gatunku, grupujących się przeszlicznie na górzystym gruncie Oahu, a złączonych malowniczo tysiącem ramion lian i innych pnących roślin.

Z produktów ziemi, które przedstawiają materiał do handlu i wywozu, pierwsze miejsce zajmuje ryż, orzechy koso-we i trzcina cukrowa.

Co do zwierząt, mało tu znaleźć można urozmaicenia. Jeżeli bowiem Kanakowie t. j. krajowcy dążą do złączenia się z rasami stojącymi wyżej inteligencją, to w świecie zwierzęcym żadna nie nastąpiła zmiana. Jako domowe znajdują się tu przedewszystkiem: świnie, kozy i kury, dzikich zaś brak jest zupełnie, i oprócz skorpionów i zwinnych jaszczurek nie spotka się tu na ziemi innego żyjącego stworzenia.

Natomiast „mustików” czyli drobnych, i dokuczliwych muszek, ilość jest tak wielką, że przybywającym a nieprzyzwyczajonym do nich artystom, dają się mocno we znaki.

Między ptactwem, które zapełnia lasy, zauważyć trzeba zupełnie brak śpiewających; natomiast upierzenie tego „krzykliwego” tylko światka, jest piękne i barwne. Przymiotem tym odznacza się między innymi „Menura”, pyszną zwaną, której ogon barwy czerwono-rdzawej wygięty w kształcie lutni, bywa na 70 cm. długi. Blaskami też kruszców i drogich kamieni błyszczą w promieniach słońca ruchliwe chmurki kolibrów, olśniewając oczy patrzącego, a nie pozwalając mu usłyszeć najmniejszego nawet szelestu ich drobnych skrzydełek.

Liczebnie dość znaczna ludność Archipelagu znajduje się na stopniu wyższej już cywilizacji. Na wzór Stanów Zjednoczonych, nauka jest tu dla każdego przymusowa, lecz zarazem i bezpłatna, a udzielana jest w szkołach tak wzorowo prowadzonych, że już na powszechnej wystawie w Paryżu 1878 przyznano im list pochwalny.

Artyści francuzcy poznają tu różne towarzystwa uczonych, bogate biblioteki, i ze szczególnem staraniem wydawane pisma, bądź to politycznej, bądź czysto literackiej i naukowej treści, które ukazują się zarówno w angielskim jak kanakskim języku.

Fakt ten mniej już wszakże zdziwił teraz Francuzów gdy wzięli pod uwagę, że przeważna liczba wyższych urzędników i bogatszych mieszkańców Honolulu, jest pochodzenia amerykańskiego, których język jest tak samo tu w użyciu, jak w obiegu znajduje się tamtejsza moneta. Osiedleni jednak na Sandwich Yankesi, różnią się od swych braci na lądzie stałym w kwestyi przyjmowania napływającej z Niebieskiego kraju istnej powodzi ukośno-okich, Chińczyków, którym Ameryka nadała wymowną nazwę „Zółtej febry”, broniąc wstępu na swe lądy.

Dziesiątego lipca Standard-Island gotuje się już do dalszej drogi, więc mieszkańcy jej żegnają Oahu i jej stolicę Honolulu, by poznać inne jeszcze wyspy hawajskie. Płynąc w kierunku południowo-wschodnim, Cudowna wyspa wsuwa się śmiało na wąski pas morza między Molokai a Kanai. Ponad tą ostatnią widnieje na tysiąc osmset metrów olbrzymi wulkan Nirhan, z którego krateru wznosi się w obecnej chwili obłok dymu i wyziewów gazowych. Grunt tej wysepki, najmniejszej z Archipelagu, tworzą pokłady natury koralowej, oraz lawy wulkanicznej, wydającej za każdym uderzeniem bałwanów przytłumione metaliczne dźwięki.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: O kamieniach na ziemi spadających, skreślił Stanisław Kramsztyk (z drzew.) — Konkurs wakacyjny dla panienek. — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Kolej żelazna na Jungfran (z drzew.) — Górskie zamczysko, opowiadanie z XIV wieku p. Zuzanne Morawską. — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z drzew.) — **Dodatek:** Najwyższy człowiek na ziemi (z drzew.) — Motyl i pszczołka, wiersz p. E. L. — Sprawozdanie z konkursu dla młodszych dzieci. Wet za wet, komedijka w jednej odsłonie. — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE



NAJWYŻSZY CZŁOWIEK NA ZIEMI.

W Berlinie pokazywano niedawno za pieniądze, najwyższego obecnie człowieka na ziemi; tłumy ciekawych spieszyły go oglądać. Aby dać lepsze wyobrażenie o jego wzroście, rycina nasza przedstawia go obok towarzysza zwyczajnej miary, który wszakże nie sięga mu do ramienia. Olbrzym ten jest Arabem i ma dopiero lat szesnaście, choć wygląda na drugie tyle. Na imię mu Hassan - Ali, ręce i nogi jego są niezwykle wielkie (33 i 35 centymetrów długości) głowa wszakże jest proporcjonalna, tylko nieco zwężona u góry.

MOTYL I PSZCZOŁKA.

(B A J K A).

— Gdyby dziś błysnął promyczek słońka
I rozweselił ten Boży świątek;
Tożbym skorzystał z ślicznego dzionka,
Aby pobujać z kwiatka na kwiatek.

Tak mówił motyl z skrzydły lekkiemi,
Patrząc jak deszczyk obficie rosi.
Bo nie rozumiał życia na ziemi,
Bez chwil słodczy jakże przynosi.

— Ach! gdyby błysnął promyczek słońka,
A wraz z nim czasy pięknej pogody;
Tożbym użyła jasnego dzionka,
By ul świeżymi z bogacić miody.
Tak powtórzyła z westchnieniem pszczołka,
Patrząc na czarne chmurki nad lasem.
Bo dla niej wszystkie kwiatki i ziółka,
Były jedynie miodów zapasem.

Wtem lekki wietrzyk rozpędził chmury,
Z oblicza ziemi cień zniknął wszelki,
Bo cudne słońko wyjrzało z góry,
W brylanty mieniać deszczu kropelki...
I poleciały żwawo w zawody,
Widząc w pogodzie szczęścia zadatek:
Pszczoła — by ul swój z bogacić w miody,
Motyl — by bujać z kwiatka na kwiatek.

Bo słońko Boże jednako świeci,
Nie szczędząc nigdy łaski swej cudów,
Tak, dla rozrywki wesołych dzieci,
Jak, dla godziwej korzyści trudów.

E. I.

Sprawozdanie z konkursu dla młodszych dzieci.

(Dalszy ciąg).

Na pochwałę zasługują wypracowania:
Dziewięcioletniej *Stokrotki*, której najgorętszym pragnieniem jest ukończyć gimnazjum ze złotym medalem i być pomocą rodzicom. Urzeczywistnienie tego marzenia po części od niej zależy, gdy wytrwa w pilności i pracy, dobroczynna wróżka niewątpliwie zamiary jej popierać będzie.

Dziewięcioletniej *Konwalijki* która przejęta współczuciem dla sierot wyraża życzenie, aby wszystkie sierotki rodziców swoich odzyskać mogły. Są jednak nieszczęścia, którym żadna wróżka zaradzić nie jest w stanie; łagodzić je tylko może wiara i współczucie serc szlachetnych.

Dziesięcioletniej *Julci D.* która zanosi prośbę o zdrowie i pomyślność rodziców swoich. Styl jej i ortografia zupełnie poprawne, ale stosując się do warunków przy podaniu tematu konkursowego zastrzeżonych, woli żeby jej praca mniej pochlebna nawet zyskała ocenę, niżeli z cudzej pomocy czynić sobie zasługę i myśli drugich

podawać za swoje. Za taką sumiennosc należy jej się słowo najszczerzego uznania z naszej strony.

Dziewięcioletniej *Trzcinie* co opisuje, jak raz w czasie nieobecności mamy, położywszy się do łóżeczka ujrzała „śliczną wróżkę w blado niebieskiej, złote gwiazdy sukni, z laseczką w rękę” a zapytana przez nią coby mieć pragnęła, odpowiedziała: „Dużo, dużo pieniędzy”. Otrzymawszy żądane bogactwa Trzcinka użyła je na wzniesienie szpitala dla chorych, szkółki i ochronki dla biednych dzieci, pracowni w których dziewczynki uczyły się szycia, a chłopcy różnych rzemiosł. Zajęta była właśnie urządzaniem ogrodu na wypoczynek i zabawę dla dzieci, gdy przebudził ją dzwonek zwiastujący powrót mamy. Życzyć nam jednak wypada, aby piękny sen dziewczynki spełnionym został na jawie w przyszłości.

Ośmioletniego *Wróbla rewelskiego* co spędzając w cieni-
stym parku pogodny poranek majowy i rozkoszując się tam śpiewem wesołych ptasząt, ubolewa nad losem biednych dzieci miejskich, pozbawionych swobody i świeżego powietrza, prosi tedy dobroczynnej wróżki, aby się tą biedną dziatwą zaopiekowała, ale ona mu tłumaczy, że ten obowiązek miłosierdzia spełniają szlachetni ludzie, których Opatrzność zsyła na ziemię, aby nieśli ulgę i pomoc potrzebującym.

Dziewięcioletniej *Żabce kubańskiej* co szczęśliwe, bez troski dni pędząc w domu rodzicielskim, czuje sama, że więcej nad to co ma, żądaćby nie mogła, a tylko prosi Boga o długie życie dla ukochanych rodziców.

Jedenastoletniego *Skowronka* pragnącego mieć charakter, któryby mu zjednywał przyjaźń ludzką, gdy bowiem człowiek zadowolony ze swego losu umie nadto życzliwość drugich pozyskać, wtedy prawdziwie szczęśliwym nazwać się może.

Dziesięcioletniej *Poziomce leśnej* proszącej o talent do muzyki, w której ma wielkie upodobanie. Zdolności artystyczne są darem wrodzonym, kto go nie posiada, temu nawet czarodziejska laseczka wróżki, nie nada właściwej biegłości w sztuce. W takim razie lepiej iżby długie godziny poświęcone mozolnej nauce gry na fortepianie lub innym jakim instrumencie, zużytkować na pracę odpowiedzialniejszą rodzajowi zdolności swoich.

Konwalijki z nad Bzury pragnącej rozumem i łagodnością zjednywać sobie ludzi. Jeśli jedno z drugim połączyć potrafi, może być pewną, że życzenie jej nawet bez współdziałania wróżki spełnionem zostanie.

Dziewięcioletniej *Marylki Z.* proszącej o zdrowie dla całej rodziny, co świadczy, że rodzinę swoją kocha, i że nawzajem od niej kochaną być musi.

Reginy R. dużemi literami, a zatem prawdopodobnie małemi rączkami (lat nie podała) piszącej, iż „prosi Wróżkę, aby jej dopomogła być pracowitą”. Jeśli codziennie biorąc książkę, kajet lub robotkę Reginka słowa tej zanięzionej prośby na pamięć sobie przywiedzie, poręczamy w imieniu wróżki, że życzenie jej spełnione zostanie.

Praktyczną kobietą obiecuje być w przyszłości *Jani-
na* z Radomia (lat nie podała) pragnie bowiem mieć na wsi gospodarstwo z ładnym pokojkiem i ogródkiem; chce hodować kury, kaczki, gołębie, gęsi; w ogródku kopać, sadzić, podlewać, jesienią zbierać owoce. Sama uznaje, że do takiej pracy potrzeba mieć wytrwałość i cierpli-

wość, ale skoro potrzebę tych zalet rozumie, nie wątpimy, że kiedyś z pomocą dobrej wróżki Janinka stanie się energiczną, skrętną, wzorową gospożą wiejską.

(d. n.)

WET ZA WET.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE

(przypisana Wandzi z Warty).

OSOBY.

FELCIA	}	rodzeństwo.
EDZIO		
JÓZIO	}	koledzy Edzia.
TADZIO		

(Scena przedstawia niewielki pokóik. Z boku stolik, na nim przybory do pisania i kajet otwarty, po drugiej stronie sceny komoda, w rogu mała kanapka).

SCENA I.

(Wchodzą Józio i Tadzio).

JÓZIO. Edzio miał nas oczekiwać, a tymczasem nie zastajemy nikogo.

TADZIO. Zaczekajmy chwilkę, z pewnością nadejdzie, bo jak widzę zaczął wypracowanie na jutro. (Zbliża się do stolika i przeglądu kajet).

JÓZIO. Znowu dostanie piątkę! Że też żaden z nas nie może mu dorównać!

TADZIO. Wiesz Józio, że ja zaczynam już za to nienawidzić Edzia. Przez niego żaden z nas nie ma dobrego stopnia z wypracowania. Nikt nie potrafi tak napisać, jak on...

JÓZIO. Dodaj jeszcze i to, że nigdy nie potrzebuje ściągać z książek. Tymczasem my, inaczej nie potrafimy pisać...

TADZIO. Przynajmniej się szczerze, że może nie tak bardzo byłoby nam trudno napisać bez książki, tylko nam się nie chce.

JÓZIO. Pamiętasz Tadzio, wypracowanie moje?

TADZIO. Ach! przypominam sobie! Był to opis konia; taki byłeś szczęśliwy, żeś podobny opis znalazł w jakiejś książce. Nie mówiąc nic nikomu, przepisałeś wszystko w kajecie, chwaliłeś się naprzód, że wypracowanie tak ci się udało, iż na pewno będzie piątka.

JÓZIO. Tymczasem profesor znał dobrze ten opis i zamiast spodziewanej piątki, była pałka.

TADZIO. A Edzio wtenczas, jak zwykle napisał doskonale!

JÓZIO. Ach! żeby też choć raz jeden zdarzyło mu się źle napisać?

TADZIO. O! to nigdy nie nastąpi.

JÓZIO. Wiesz Tadzio, co mi za myśl przyszła do głowy?

TADZIO. Co takiego?

JÓZIO. Zobacz wpierw, czy wypracowanie jego zupełnie już skończone...

TADZIO (*przeogląda kajet*). Już, już napisane całe.

JÓZIO. W takim razie, wydrzyj zapisane kartki, Edzio nie będzie pewnie zaglądał już do tego kajetu i jutro złapie się, gdy wypracowania nie będzie miał napisanego.

TADZIO. E! to trochę za śmiały żart, gdy się dowie, że to my zrobiliśmy coś podobnego...

JÓZIO. Pocóż ma się dowiedzieć, kto mu spłatał figla!... wyniesiemy się zaraz pocichutku i Edzio nie będzie nawet wiedział żeśmy tu byli.

TADZIO. Gdyby jutro Edzio nie miał napisanego wypracowania, to napewno który z nas dostałby piątkę.

JÓZIO. Widzisz! Czy to nie świetna myśl, żeby zniszczyć te gryzmoły?

TADZIO. Więc radzisz wydrzeć kartki?

JÓZIO. Z pewnością! Tylko nie namyślaj się długo, bo Edzio może nadejść.

TADZIO. A więc, niech się dzieje co chce, wypracowanie przepadnie! (*Wydziera karty, gniecie je w rękę i rzuca pod komodę*).

JÓZIO. A teraz w nogi, żeby nas Edzio nie spostrzegł, bo nie darowałby nam tego.

TADZIO. Ma się rozumieć! Ja sam przyznam się otwarcie, że mściłbym się okropnie, gdyby mi kto podobnego spłatał figla. (*wychodzą*).

SCENA II.

(*Wchodzi Felcia*).

FELCIA. Wszędzie szukam mego naparstka i znaleźć nie mogę. W komodzie go niema... Zobaczę raz jeszcze, może wpięram źle szukałam. (*Otwiera szufladę i przeogląda*). Nie, nie ma go wcale. (*Uderza się pięścią w czoło*). Ach! jaką ja mam krótką pamięć! zapomniałam zupełnie, że wczoraj naparstek upadł mi pod komodę. I potrzebnie tyle czasu zmarnowałam na daremne szukanie? Teraz znajdę go z pewnością. (*Bierze dużą linię ze stolika, kładzie ją przed komodę i wygarnia zgniecioną kartkę*). A to co? (*Ogląda kartkę*). Wypracowanie Edzia! Pocóż on je wydzierał z kajetu? (*Szuka jeszcze pod komodę i znajduje naparstek*). Ach! jest nareszcie moja zguba!... Ale to wypracowanie zaczyna mnie niepokoić, muszę się zapytać, z jakiego powodu wydarte jest z kajetu. (*Zbliża się do drzwi i woła*): Edziu! Edziu!

SCENA III.

(*Wbiega Edzio*).

EDZIO. Zdaje mi się, żeś mię wołała, Felciu...

FELCIA. Tak braciszku. Chciałam się zapytać, dla czego zniszczyłeś swoje wypracowanie?

EDZIO. Co ty mówisz?... Ja żadnego wypracowania nie niszczyłem.

FELCIA (*podaje kartę Edziowi*). Zobacz, znalazłam je pod komodą. Zdaje mi się, że to jest to samo, które na jutro pisałeś?

EDZIO (*ogląda kartę*). Rzeczywiście, to jest moje własne wypracowanie. Jakim sposobem mogło być pod komodą? Przed kwadranssem skończyłem je i zosta-

wiłem tu na stoliku. (*Zbliża się i przeogląda kajet*). Wyrwane karty! Mój Boże! Któż mi zrobił taką krzywdę!

FELCIA. Mnie braciszku proszę, nie posądźaj o to.

EDZIO. O! zanadto pewny jestem, że ty nigdy nie uczyniłaś mi takiej przykrości.

FELCIA. Jednakże bardzo mnie to zaciekawia. Kto mógł to uczynić? Przecież nikogo nie było tutaj.

EDZIO. Aha! teraz mi się wszystko wyjaśnia! Musieli tu być Tadzio i Józio, bo spotkałem ich na ulicy przy bramie naszego domu. Wydali mi się jacyś zmieszani... Najpierw, udawali, że mię nie widzą, chcieli prędko odejść, lecz zawołałem na nich i prosiłem, żeby wstąpili do mnie, bo nawet umówiliśmy się o to, ale oni spoglądali na siebie zakłopotani, zaczęli się wymawiać nie bardzo zręcznie. Postępowaniem ich niezmiernie byłem zdziwiony, ale teraz wszystkiego się domyślam.

FELCIA. Więc ty sądzisz Edziu, że oni tu byli?

EDZIO. Nie inaczej! Jestem pewny, że to Tadzio z Józkiem wyrządzili mi takiego figla, myśląc, że nic nie spostrzegę i jutro nie będę miał wypracowania napisanego. Ale pokrzyżowały im się plany! Ja nie jedno, ale dziesięć wypracowań, zdążyłbym do jutra napisać i na złość dołożę wszelkich starań, żeby moje wypracowanie nie zasłużyło na żadną naganę. A oni popamiętajają mnie! Bo im tego nie daruję! Oddam im wet za wet.

FELCIA. Jakto? Edziu! ty, ty, mścić się będziesz?

EDZIO. Cóż chcesz? żeby mi pozwolił, sobie takie złośliwe figle płatać? Już ja im tak oddam za to, że nie odważą się drugi raz na coś podobnego!

FELCIA. Prawda, że bardzo brzydko postąpili, dobrzy koledzy tak nie robią. Ale Edziu, ja będąc na twojem miejscu nie uczyniłabym tego. Zemsta, to rzecz szkaradna. Mój drogi braciszku, zaniechaj twego zamiaru!

(*d. n.*)



SZARADA.

Od Srebrnej gwiazdy dla Woni leśnej.

Kiedy fale na rzekach przy odwilży wzrosną,
Pierwsze, widać na wodzie pływające z wiosną.
Drugie, jest męskie imię, choć to rzecz prawdziwa,
Że takiego patrona, też nie codzien bywa.
Trzecie, zgłoska, lecz w słowo połączona cała
Z drugim, utworzy imię kobiety zdrobniale.
Wszystko rzecz nader prosta, gdyż przemysł ludowy,
W postać taką urabia często ser krajowy.

LAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Lew z n. Nilu dla Czytelników Wieczorów.

Ułożyć 5 wyrazów, których początkowe i końcowe litery utworzą nazwy dwóch rzek w Król. Polskiem. 1) Miasto n. Odrą. 2) Kraj w Azji. 3) Miasto n. Dniestrem. 4) Miara wagi. 5) Miasto w połud. Australii. Sylaby: A—ja—wro—de—da—cław—bor—po—laj—nia—sam—łót.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ulożył Malarz.

1. Samogłoska.
2. Nazwa poezyi lirycznej.
3. Miasto w Syberyi Wschod. n. rz. Ingoda.
4. Miasto w Szkocyi.
5.
6. Bogini mądrości.
7. Nazwa nabywanych wiadomości.
8. Owad błonkoskrzydły, żądłowy.
9. Spółgłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery powinny utworzyć nazwę najznakomitszej postaci, z wojny trojańskiej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

Szarady: Ko — la — sy.

Łamigłównki sylabowej:

- 1) Haiti. 2) Allah. 3) Malta. 4) Iran. 5) Lodi 6) Krab.
- 7) Alhambra. 8) Rafael.

Hamilkar i Hanibal.

Kwadratu magicznego:

M i k a
I k a r
K a r a
A r a b .

Skrzynka do listów.

Narcyzowi z Siedlec donosimy, że odpowiedzi nigdy tak prędko jak pragnął wydrukować nie możemy. Łamigłównki umieścimy o ile się okażą odpowiednie dla pisma, kiedy zaś drukowane będą, tego z góry powiedzieć nie możemy, gdyż w wyborze licznie nadsyłanych podobnych zadań, kolei trzymać się musimy.

A. Z. Z logogryfu korzystać będziemy, o ile nie okaże się powtórzeniem dawniej już w tym rodzaju drukowanego.

Zrozumiałas dokładnie kochana *Pliszko*, znaczenie słów: co dacie ubogiemu, Chrystusowi dacie — skoro pierwszego rubla od baci ofiarujesz na kolonie letnie. Z tak dobrą dziewczynką miły każdemu stosunek. Dziękuję ci za złożoną dla mnie kropkowaną zagadkę, odgadłam ją zaraz, bo jak sama wiesz musisz, ptaszki nie zapominają o przysłowiu: kto rano wstaje, temu pan Bóg daje — i od samego świtu śpiewają Stwórcy na chwałę i ludziom na pociechę.

Cieszę się że *Izia* choć na wsi mając dużo jaskółek „najlepiej” jak pisze — kocha jaskólkę warszawską.

Wdzięczną jestem *Ołowi Marszałkowi* za jego przychylne dla mnie uczucia i pozdrawiam serdecznie moich małych przyjaciół.

Przebywając ciągle w licznym gronie towarzyszek, z którymi dzielić mogę radość czy smutek, tem lepiej rozumiem jak ci przykro *Chersonko* żyć bez odpowiedniego do wieku twego towarzystwa. Przyjdzie pora w której niewątpliwie brak ten nagrodzić sobie będziesz mogła, a teraz słusznie czynisz szukając rozrywki w czytaniu. Dobra książka to także dobry przyjaciel.

Odpowiadać na listy jest obowiązkiem każdego dobrze wychowanego człowieka, a że w grzeczności jaskółka radaby ludziom dorównać, przeto mogłaś być pewną *Gwiazdka*, że odezwy twej milczeniem nie pominię. Wprawdzie kazałaś mi długo na nią czekać, skoro sama wyznajesz że list twój czekał z pół roku zanim go na pocztę wysłałaś, ale należą do wyrozumiałych korespondentek, a najprzyjemniej mi odbierać takie listy, które pisujecie z dobrej woli, bez przymusu, zachowując zupełną swobodę w naszym stosunku.

Spełniam żądanie wasze *Polna Różyczko* i *Gwiazdka* składając w biurze Redakcyi nadesłane mi łamigłównki. Czy będą jednak umieszczone i kiedy to nastąpi, powiedzieć nie mogę, gdyż jak łatwo domyślicie się, w zajęciach redakcyjnych nie biorę żadnego udziału.

Bardzo mi przyjemnie zabrać z tobą bliższą znajomość kochana *Jutrzenko*; z listu twego widzę, że jesteś dobrą dziewczynką. Mówisz z całą szczerością o ujemnych stronach charakteru twego obiecując zawsze chętnie przyjmować moje rady i przestrogi. Możesz rachować na gotowość moją w dopomaganiu ci w dobrych twoich usiłowaniach, zapewnić cię jednak mogę, że sama najważniejszy już krok zrobiłaś ku poprawie zastanawiając się nad wadami twemi i starając się o ich wykorzenienie. Zarozumiałość głównie jest nam przeszkodą do postępu w każdym kierunku, ale gdy umiemy z sunieniem ściśle się rachować, gdy nas miłość własna nie zaślepia, a lekceważenie nie odbiera poczucia winy, wówczas jesteśmy już na drodze pracy nad moralnem udoskonaleniem ducha naszego, co stanowi najważniejsze zadanie człowieka na ziemi.

Jaskółka.

Od Redakcyi.

Przy kończącym się kwartale i półroczu przypominamy odnowienie prenumeraty na

„WIECZORY RODZINNE,”

które pod tymi samymi co dotąd warunkami wychodzić będą

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. — Na prowincyi rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. — We Lwowie i Krakowie kwartalnie złr. 2. — W Poznaniu kwartalnie mar. 3.

„KRONIKA RODZINNA”

Pismo przeznaczone dla wszystkich członków rodziny.

W kwartale przyszłym wychodzić będzie w tymże samym kierunku i warunkach przedpłaty, *wynoszącej tyleż co i Wieczory Rodzinne*

Adres obu pism: Warszawa, ulica Mazowiecka Nr. 10.